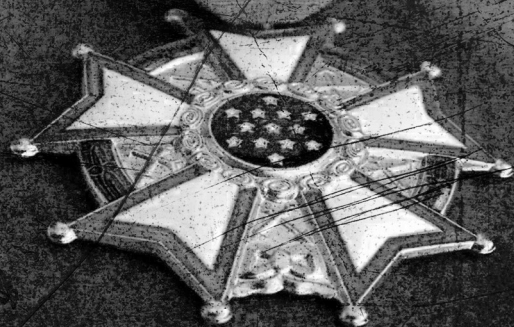


LEE
CHILD

STO MILIONÓW
DOLARÓW



1

Rano dali mu medal, a po południu odesłali go z powrotem do szkółki. Dostał Legię Zasługi. Już drugą. Elegancki drobiazg w białej emalii, z purpurowoczerwoną tasiemką. Według Rozporządzenia Armii Stanów Zjednoczonych numer 600-8-22, medal ten jest przyznawany za wyjątkowe zasługi tym, którzy pełnią odpowiedzialne funkcje podczas wojny i pokoju. Cóż, formalnie rzecz biorąc, on tę poprzeczkę przeskoczył. Ale doszedł do wniosku, że odznaczono go z tego samego powodu co przedtem. Był to symbol swojego rodzaju transakcji. Umowy z cyklu: weź tę błyskotkę i ani słowa o tym, o co cię prosiliśmy. Tyle że on zrobiłby to i bez proszenia. Zresztą nie było się czym chwalić. Ot, Bałkany, trochę policyjnej roboty, poszukiwanie dwóch miejscowych koleś, którzy mieli co ukrywać. Zidentyfikował ich, znalazł, odwiedził i wpakował im po dwie kule w głowę. Wszystko w ramach utrwalania procesu pokojowego. Zabieg okazał się skuteczny, bo w regionie trochę się uspokoiło. Koszt? Dwa tygodnie życia. I cztery naboje. Nic wielkiego.

Rozporządzenie numer 600-8-22 było zaskakująco niejasne co do sposobu wręczania medali. Mówiło jedynie, że ma się to odbywać ze stosowną ceremonią i w stosownie oficjalnej

atmosferze. Co zwykle znaczyło, że uroczystość organizowano w dużej sali ze złożonymi meblami i pękiem flag. I że medal wręczał oficer starszy stopniem od nagradzanego. Reacher był majorem z dwunastoletnim stażem, ale ponieważ tego samego ranka medale dostali także inni, w tym trzech pułkowników i dwóch jednogwiazdkowych generałów, na pokład zawitała gruba ryba z Pentagonu, trzygwiazdkowy generał. Reacher poznał go przed wielu laty w Fort Myer, gdzie facet dowodził batalionem CID, oddziałem dochodzeniówki kryminalnej Sił Lądowych USA. Łebski gość, w każdym razie na tyle, żeby wykoncypować, dlaczego major żandarmerii wojskowej dostaje Legię Zasługi. Miał to coś w oczach, to spojrzenie. Na wpół drwiące, na wpół poważne. Bierz błyskotkę i morda w kubek. Może kiedyś robił to samo. Pewnie tak, bo na kurtce galowego munduru miał całą tęczę baretek. W tym dwie Legie.

Stosowną ceremonię w stosownie oficjalnej atmosferze zorganizowano w Fort Belvoir w Wirginii. Blisko Pentagonu, a więc wygodnie dla trzygwiazdkowej szczy. Dla Reachera też, bo miał stamtąd blisko do Rock Creek, gdzie zabijał czas od powrotu z misji. Mniej wygodnie dla oficerów, którzy przylecieli z Niemiec.

Najpierw było trochę kręcenia się po sali, trochę gadania o niczym i ściskania rąk, a potem wszyscy ucichli, stanęli na baczność w rzędzie i zaczęło się: wymieniano honory, generał przypinał lub zawieszał medale, potem znowu pokręcili się trochę po sali, pogadali o niczym i pościskali sobie ręce. Reacher przesunął się powoli w stronę drzwi, chcąc jak najszybciej wyjść, ale nie zdążył, bo dopadł go ten trzygwiazdkowy. Uścisnął mu rękę, chwycił za łokieć i powiedział:

- Podobno ma pan nowe rozkazy, majorze.
- Nic o tym nie wiem – odparł Reacher. – Przynajmniej

na razie. Gdzie pan to słyszał?

– Od mojego sierżanta. Oni tam wszyscy plotkują. Podoficerowie naszej armii to najskuteczniejsza poczta pantoflowa na świecie. Zawsze mnie to zdumiewa.

– I niby gdzie mnie wysyłają?

– Dokładnie nie wiadomo. Ale gdzieś niedaleko. W każdym razie da się spokojnie dojechać. Ci z parku maszynowego musieli dostać zapotrzebowanie.

– Kiedy mnie powiadomią?

– Dzisiaj.

– Dziękuję. Dobrze wiedzieć.

Generał puścił jego łokieć i Reacher ruszył dalej, do drzwi, a potem wyszedł na korytarz, gdzie gwałtownie wyhamował przed nim sierżant sztabowy. Wyhamował i zasalutował zdyszany jak po długim biegu. Pewnie wysłano go z tej części fortu, gdzie nic nikomu nie wręczano, tylko uczciwie pracowano.

– Panie majorze – wysapał – generał Garber gratuluje medalu i prosi, żeby wpadł pan do niego, kiedy tylko będzie pan mógł.

– Dokąd mnie wysyłają, sierżancie? – spytał Reacher.

– Gdzieś niedaleko – odparł sztabowiec. – Ale „niedaleko” daje sporo możliwości.

• • •

Garber stacjonował w Pentagonie, więc Reacher zabrał się z dwoma kapitanami, którzy mieszkali w Belvoir, ale jechali na popołudniową służbę w kręgu B. Generał miał własny pokój – dwa kręgi w głąb, dwa piętra w górę – strzeżony przez sierżanta przy biurku pod drzwiami. Który wstał, wprowadził Reachera do gabinetu i zaanonsował jak staroświecki kamerdyner ze staroświeckiego filmu. Potem zrobił mu przejście i chciał wrócić na posterunek, ale Garber

go zatrzymał.

– Niech pan zostanie, sierżancie.

I sierżant został. Zrobił „spocznij”, rozstawił nogi na błyszczącym linoleum i znieruchomiał.

Świadek.

– Nie pan usiądzie, majorze.

Reacher usiadł na krześle dla gości, takim z nogami z rurek, które ugięło się pod nim i odchyliło do tyłu, jakby powiał silny wiatr.

– Ma pan nowe rozkazy – oznajmił generał.

– Co i gdzie?

– Wraca pan do szkoły.

Reacher milczał.

– Rozczarowany?

Aha, stąd świadek. To nie była prywatna rozmowa. Sytuacja wymagała wzorowego zachowania.

– Panie generale, chętnie pojedę wszędzie tam, dokąd wyśle mnie armia.

– Widzę, że nie jest pan zadowolony. A powinien pan się cieszyć. Trzeba stale się doksztalcać, to wspaniała rzecz.

– Wracam do... jakiej szkoły?

– Szczegółowe rozkazy otrzyma pan u siebie. Powinny już czekać.

– Długo mnie nie będzie?

– To zależy od tego, jak bardzo będzie się pan starał. Przypuszczam, że tyle, ile będzie trzeba.

• • •

Wsiadł do autobusu na parkingu przed Pentagonem i wysiadł dwa przystanki dalej, w kwaterze głównej w Rock Creek. Wdrapał się na wzgórze i poszedł prosto do biura. Na środku biurka leżała cienka teczka, na której widniało jego nazwisko, jakieś cyfry i nazwa kursu: *Wpływ najnowszych*

innowacji kryminalistycznych na współpracę międzyagencyjną. W środku było kilka kartek – prosto z kserokopiarki, bo jeszcze ciepłych – w tym oficjalny rozkaz tymczasowego oddelegowania do czegoś, co wyglądało na ośrodek szkoleniowy wydzierżawiony w kompleksie biur w McLean w Wirginii. Miał się tam stawić przed siedemnastą. Ubranie? Cywilne. Kwatery? Na miejscu. Przydzielono mu również samochód. Bez szofera.

Włożył teczkę pod pachę i wyszedł. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Nikt się nim nie interesował. Już nie. Zawiódł. Wszystkich rozczarował. Poczta pantoflowa wstrzymała oddech, a on dostał skierowanie na jakiś bzdurny kurs o bzdurnej nazwie. Przestał istnieć. Stał się nikim. Wypadł z obiegu. Co z oczu, to z serca. Jak futbolista przeniesiony na listę kontuzjowanych. Za miesiąc ktoś może sobie o nim przypomni, nagle i tylko na sekundę, i będzie się zastanawiał, kiedy – jeśli w ogóle – ten Reacher wróci. A potem równie szybko o nim zapomni.

Siedzący przy biurku sierżant zerknął na niego i znudzony odwrócił wzrok.

• • •

Reacher miał niewiele cywilnych ubrań, a niektóre nie były tak naprawdę cywilne. Na przykład spodnie miały około trzydziestu lat i stanowiły część munduru polowego Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych. Po prostu znał gościa, a ten kolejnego gościa pracującego w magazynie wojskowym, gdzie leżała podobno wielka beła starych ubrań, które trafiły tam przez pomyłkę za prezydentury Lyndona B. Johnsona i z których nigdy się nie rozliczono. Pointa tej opowieści miała być chyba taka, że stare wojskowe portki wyglądają jak nowiutkie spodnie od Ralpha Laurena. Nie, żeby Reacherowi zależało na jakości spodni. Ale pięć dolców

za parę robiło wrażenie. Poza tym świetnie leżały. Nienoszone, sztywno złożone, może trochę zalatujące pleśnią, mogły spokojnie wytrzymać kolejne trzydzieści lat. Co najmniej.

Cywilne podkoszulki też były wojskowe, stare, wyblakłe i sprane. Tylko jasnobrązowa kurtka była stuprocentowo cywilna. Stara kurtka Levi'sa, pod każdym względem autentyczna, łącznie z czerwoną chorągiewką, tyle że uszyta w seulskiej piwnicy przez matkę jego dawnej dziewczyny.

Przebrał się, spakował resztę rzeczy do worka, wziął mundur w pokrowcu i wyniósł to wszystko przed dom, gdzie czekał czarny chevrolet caprice. Podejrzewał, że jest to stary wóz patrolowy żandarmerii wojskowej, teraz już na emeryturze, z odklejonymi napisami i gumowymi korkami w dziurach po antenach i dyskotece na dachu. Kluczyk tkwił w stacyjce. Siedzenie kierowcy było wytarte. Ale silnik odpalił za pierwszym razem, biegi wchodziły bez zarzutu, a hamulce hamowały. Reacher zawrócił, powoli, jak potężnym pancernikiem, opuścił szyby, włączył radio i pojechał do McLean.

• • •

Kompleks biur wyglądał jak kompleks biur, bo wszystkie wyglądają tak samo: wszędzie brąz i beż, dyskretne tabliczki z dyskretnymi napisami, ładnie utrzymane trawniki, tu kilka świerczków, tam kilka tuj czy sosenek i rozrzucone po pustym terenie grupki dwóch, trzech niskich budynków służące tym, którzy ukrywają się za przyciemnionymi oknami gabinetów i pod skromnymi, nierzucającymi się w oczy nazwami. Reacher znalazł właściwy numer ulicy i skręcił tuż za wysoką do kolan tabliczką z napisem ROZWIAZANIA EDUKACYJNE INC., wykonanym czcionką tak prostą, że aż dziecinną.

Przed drzwiami parkowały dwa inne chevrolety caprice.

Jeden czarny, drugi granatowy, obydwa nowsze niż jego. I bardziej cywilne, bo bez gumowych korków i pomalowanych pędzlem drzwi. Nie ulegało wątpliwości, że są to samochody rządowe, błyszczące i czyste, oba miały o dwie anteny więcej, niż potrzeba by było do słuchania transmisji z meczu baseballowego. Z tym że anteny się różniły. Ten czarny miał krótkie i ostre jak igły, a granatowy – długie i wiotkie jak witki. Inne konfiguracje. Inne fale radiowe. Dwie różne instytucje.

„Współpraca międzyagencyjna”.

Reacher zaparkował obok nich i zostawił bagaż w samochodzie. Drzwi, pusty korytarz z wytrzymałą szarą wykładziną i zielonymi iglakami w donicach pod ścianą. Drzwi z napisem BIURO. A nieco dalej kolejne, z napisem KLASA. I te otworzył. W środku zobaczył zieloną tablicę i dwadzieścia ławek w rzędach po pięć, każda z półeczką z prawej strony na papier i ołówek.

W dwóch z nich siedziało dwóch mężczyzn w garniturach, mniej więcej w jego wieku. Jeden w czarnym, drugi w granatowym. Tak jak samochody. Obaj patrzyli prosto przed siebie, jakby rozmawiali i nagle zabrakło im tematów. Ten w czarnym był bladej i miał ciemne włosy, niebezpiecznie długie jak na kogoś, kto jeździ rządowym samochodem. Włosy tego w granatowym, też bladego, były krótko przycięte. Jak u astronauty. Zresztą wyglądał na astronautę albo gimnastyka, który niedawno zakończył karierę.

Kiedy Reacher wszedł do klasy, spojrzeli na niego i ten ciemnowłosy spytał:

- Kim pan jest?
- Zależy od tego, kim jest pan – odparł Reacher.
- Pańska tożsamość zależy od mojej?
- Tak, bo albo się wam przedstawię, albo nie. To wasze samochody?

- To ważne?
- Dają do myślenia.
- W jakim sensie?
- W takim, że się różnią.

– Tak, nasze. I tak, jest pan w klasie z dwoma przedstawicielami dwóch różnych agencji rządowych. Mają nas uczyć współpracy. Dogadywania się z innymi organizacjami. Niech pan tylko nie mówi, że reprezentuje pan trzecią.

– Owszem, żandarmerię wojskową – potwierdził Reacher.
– Ale spokojnie. Jestem przekonany, że o piątej zaroi się tu od bardzo kulturalnych ludzi. Będziecie mogli mnie olać i zadawać się z nimi.

Ten krótko obcięty podniósł wzrok.

– Nie, myślę, że to już wszyscy. Cała ekipa. Przygotowali tylko trzy pokoje. Rozejrzałem się.

– Rządowa szkółka z trzema uczniami? – zdziwił się Reacher. – Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

– Może to my mamy kogoś uczyć. Może uczniowie mieszkają gdzie indziej.

– Tak – mruknął ten ciemnowłosey. – To miałyby więcej sensu.

Reacherowi przypomniała się rozmowa z Garberem.

– Powiedziano mi, że trzeba się stale doskonalić. Odniosłem silne wrażenie, że to mnie będą uczyć. Potem zasugerowano mi, że im ciężiej będę pracował, tym szybciej skończę. Dlatego nie sądzę, żebyśmy mieli kogoś szkolić. Dostaliście podobne rozkazy?

– Mniej więcej – mruknął krótko obcięty.

Ten drugi nie odpowiedział, nie licząc enigmatycznego wzruszenia ramionami, które mogło sugerować, że nawet komuś obdarzonemu bujną wyobraźnią trudno by było zinterpretować jego rozkazy jako zapierające dech w piersi.

– Casey Waterman, FBI – przedstawił się ten z krótkimi włosami.

– Jack Reacher, Armia Stanów Zjednoczonych.

– John White, CIA – poszedł w ich ślady długowłosey.

Uścisnęli sobie ręce i zapadła cisza taka jak wtedy, kiedy Reacher otworzył drzwi. Ze wszystkiego się wystrzelali i zabrakło im tematów. Reacher usiadł w ławce na końcu klasy.

Waterman siedział na lewo od niego, White na prawo, obaj przed nim. Waterman nieruchomo jak kamień. Lecz ani na chwilę nie tracił czujności. Zabijał czas i oszczędzał energię. Widać było, że robi to nie pierwszy raz. Doświadczony agent, nie jakiś tam świeżak. Tak jak White, z tym że White był zupełnie inny. Ani przez chwilę nie potrafił usiedzieć na miejscu. Ciągłe wiercił się i wił, wykręcał sobie ręce, mrużył oczy, gapiąc się to w dal, to tuż przed siebie, robiąc dziwne miny, zerkając raz w lewo, raz w prawo, jakby dręczyły go myśli, których za nic nie mógł odpędzić. Analityk, domyślił się Reacher. Facet po latach pracy w świecie niewiarygodnych danych i podwójnych, potrójnych, a nawet poczwórnych mistyfikacji. Miał prawo robić wrażenie zdenerwowanego.

Nikt nic nie mówił.

Po pięciu minutach Reacher przerwał ciszę.

– Czy my się kiedykolwiek nie dogadywaliśmy? To znaczy FBI, CIA i wojsko. Nic mi o tym nie wiadomo. A wam?

– Myślę, że wyciąga pan niewłaściwe wnioski – odparł Waterman. – Tu nie chodzi o przeszłość. Tu chodzi o przyszłość. Oni wiedzą, że już współpracujemy. Dzięki czemu mogą nas wykorzystywać. Spójrzmy na pierwszą część nazwy tego kursu. Innowacje i współpraca. A skoro innowacje, to znaczy, że chcą oszczędzać. Że będziemy współpracowali jeszcze ściślej. Na przykład dzieląc się laboratoriami. Albo zbudują dla nas nowy ośrodek. Tak

myślę. Pokażą nam, jak wprowadzić to w czyn.

– Pogieło ich czy co? – mruknął Reacher. – Laboratoria, harmonogramy... Ja się na tym nie znam. Jestem ostatnią osobą, która się do tego nadaje.

– Tak jak ja – powiedział Waterman. – Szczerze mówiąc, nie jest to mój najsilniejszy atut.

– Gorzej niż pogieło. To kolosalna strata czasu. Dzieje się dużo ważniejszych rzeczy – dodał White. Wierząc się i wijąc, wykręcając ręce.

– Oderwali pana od pracy? – spytał Reacher. – Siedział pan nad czymś?

– Właściwie to nie. Miałem przejść na inne stanowisko. Akurat zamknąłem pewną sprawę. Myślałem, że z powodzeniem, ale w nagrodę trafiłem tutaj.

– Trochę optymizmu, kolego. Tu może się pan odprężyć. Wyluzować. Pograć w golfa. Nie musi się pan niczego uczyć. Laboratoria? CIA ma je gdzieś. Rzadko kiedy z nich korzysta.

– Właśnie powinienem coś zaczynać, będę miał trzy miesiące do tyłu.

– Ale co zaczynać?

– Nie mogę powiedzieć – odparł White.

– Komu to przydzielili?

– Tego też nie mogę powiedzieć.

– Przynajmniej dobry jest? – drążył dalej Reacher.

– Nie za bardzo. Może coś przegapić. Tam wszystko się liczy. Niczego nie da się przewidzieć.

– Przewidzieć w czym?

– To tajne.

– Ale to coś ważnego, tak?

– Dużo ważniejszego niż to.

– Jaką sprawę pan zamknął?

– To też tajne.

– Podpada pod kategorię wyjątkowych zasług dla Stanów

Zjednoczonych na odpowiedzialnym stanowisku podczas wojny i pokoju...?

– Że co? – nie zrozumiał White.

– ...albo coś w tym rodzaju?

– Tak, powiedzmy.

– I w nagrodę wysłali pana tutaj.

– Mnie też – wtrącił Waterman. – Jedziemy na tym samym wózku. Mógłbym powtórzyć to samo, słowo w słowo.

Spodziewałem się awansu. Ale na pewno nie takiego.

– Awansu za co? – spytał Reacher. – Po czym?

– Zamknęliśmy dużą sprawę.

– Jaka?

– Bardzo starą. Polowaliśmy na kogoś. I udało się, po tylu latach.

– Czyli przysłużyliście się krajowi, tak?

– Co pan z tymi zasługami?! – zniecierpliwiał się Waterman.

– Próbuję was porównać. I stwierdzam, że prawie niczym się nie różnicie. Jesteście bardzo dobrymi agentami, już starszymi, lojalnymi i godnymi zaufania, dlatego powierzają wam odpowiedzialne zadania. Powierzają i nagradzają zsyłką do durnej szkółki. Pytanie: dlaczego? Nasuwają się dwie odpowiedzi.

– Jakie?

– Może to, co robiliście, było kłopotliwe dla pewnych kręgów. Może będą się tego wypierać. Skoro tak, trzeba was ukryć. Co z oczu, to z serca.

White pokręcił głową.

– Nie, oddźwięk był jak najbardziej pozytywny. I będzie taki przez wiele lat. Dostałem medal, w tajemnicy. I osobisty list pochwalny od sekretarza stanu. Zresztą nie muszą niczemu zaprzeczać, bo sprawa była ściśle tajna. Nikt nic nie wiedział.

Reacher spojrział na Watermana.

– A pańskie polowanie? Nie narobiło nikomu kłopotów?

Waterman pokręcił głową.

– Mówił pan coś o dwóch odpowiedziach. Jaka jest druga?
– spytał.

– Taka, że to nie jest szkółka.

– Tylko co?

– Miejsce, gdzie wysyłają dobrych agentów po dopięciu dużej sprawy – odparł Reacher.

Waterman zmarszczył brwi. Jakby go nagle olśniło.

– Z panem jest tak samo? Na pewno. Czemu miałyby być inaczej? Dlaczego mieliby tu ściągać dwóch zasłużonych, a trzeciego bez zasług?

Reacher kiwnął głową.

– Dokładnie tak samo. Niedawno wróciłem z misji. Udanę jak cholera, to na pewno. Dziś rano dali mi medal. Na tasie, taki na szyję. Za dobrą robotę. Czystą i schludną. Nie mieli się czego wstydzić.

– Co to była za robota? – spytał Waterman.

– Ścisłe tajna. Ale według dość wiarygodnych źródeł, mogło chodzić o wtargnięcie do pewnego domu i wpakowanie dwóch kul w głowę jego właścicielowi.

– Gdzie?

– Jedna w czoło, druga za ucho. Tak jest najskuteczniej.

– Nie. Pytałem, gdzie jest ten dom?

– To też jest ściśle tajne. Ale podejrzewam, że gdzieś za granicą. Wiarygodne źródła twierdzą, że w nazwie tego miasta jest od groma spółgłosek. I prawie nie ma samogłosek. A potem ktoś powtórzył to w innym domu. Następnej nocy. Z równie słusznych powodów. Dlatego można by się spodziewać, że w nagrodę facet dostanie coś więcej niż to. Choćby nowy przydział. Może nawet prawo wyboru kolejnej misji.

– Właśnie – zgodził się z nim White. – A ja na pewno nie wybrałbym tego, tylko coś związanego z tym, czym

powinienem się teraz zajmować.

– Coś ambitniejszego.

– Otóż to.

– Typowe. W nagrodę chcemy dostać coś ambitnego, nowe wyzwanie. A nie bzdurną łatwiznę. Chcemy awansować.

– Oczywiście.

– Może jednak awansowaliśmy – myślał na głos Reacher.

– O coś was zapytam. Przypomnijcie sobie chwilę, kiedy dostaliście rozkaz wyjazdu. Czy przekazano wam go ustnie, twarzą w twarz, czy na piśmie?

– Twarzą w twarz – odparł White. – Takich rzeczy nie robi się inaczej.

– Czy w pokoju był ktoś trzeci?

– Tak. To było poniżające. Sekretarka z administracji z plikiem dokumentów. Kazał jej zostać. Stała tam i czekała.

Reacher spojrzał na Watermana.

– U mnie tak samo – powiedział agent. – Kazał zostać sekretarce. Normalnie by tego nie zrobił. Skąd pan wiedział?

– Bo u mnie było identycznie. Kazał zostać w pokoju sierżantowi. Jakby chciał mieć świadka. Świadek... o to właśnie chodziło. O pocztę pantoflową. Podoficerowie gadają, plotkują. W ciągu kilku sekund wszyscy dowiedzieli się, że nigdzie mnie nie wysyłają. Że jadę na jakiś głupi kurs o głupiej nazwie. Natychmiast przestałem ich interesować. Zniknąłem z radaru. Jestem przekonany, że wiadomość się już rozeszła. Jestem nikim. Zniknąłem w biurowej mgłę. Wy pewnie też. Może wasze sekretarki też mają pocztę pantoflową. Jeśli tak, staliśmy się najbardziej niewidzialnymi ludźmi na ziemi. Nikt o nas nie pyta. Nikogo nie interesujemy. Nikt nas już nawet nie pamięta. Szkołka? Nie można trafić do nudniejszego miejsca.

– Dobrze – rzucił White. – Twierdzi pan, że usunęli z radarów trzech niezwiązanych ze sobą, lecz w pełni

aktywnych agentów. Po co?

– Z radarów to mało – odparł Reacher. – Siedzimy w klasie. Jesteśmy kompletnie niewidzialni.

– Ale dlaczego? Dlaczego akurat nas trzech? Co nas łączy?

– Nie wiem. Ale jestem pewien, że chodzi o coś ambitnego. Może o coś, co trzech dobrych agentów może uznać za zadowalającą nagrodę za dotychczasową służbę.

– Gdzie my właściwie trafiliśmy?

– Nie mam pojęcia – powiedział Reacher. – Ale to nie jest szkoła. Tego jestem pewny.

• • •

Punktualnie o piątej z głównej drogi zjechały dwa czarne vany. Skręciły za sięgającą kolan tabliczką i zaparkowały za chevroletami, prostopadle do trawnika, jak dwie ciężkie barykady. Wsiadło z nich czterech mężczyzn w garniturach. Agenci Secret Service albo U.S. Marshals, szeryfowie policji federalnej. Rozejrzeli się szybko, skinęli głowami na znak, że teren jest czysty, i otworzyli drzwi vanów.

Z drugiego wysiadła kobieta. W jednej ręce miała dyplomatkę, w drugiej plik dokumentów. Była w eleganckiej czarnej sukience. Do kolan. Takiej, co to może mieć podwójne zastosowanie: za dnia noszona z perłami w zacisznym gabinecie na ostatnim piętrze luksusowego wieżowca, a wieczorem, już z brylantami, na koktajlu czy przyjęciu. Kobieta była starsza od Reachera, dziesięć lat, może nawet więcej. Na pewno przekroczyła czterdziestkę, ale świetnie się trzymała. Miała jasne włosy średniej długości, bezpretensjonalnie ułożone i na pewno przeczesane ręką. Była wyższa od przeciętnej kobiety, lecz nie szersza. Robiła wrażenie bystrej i rozgarniętej.

Z drugiego vana wysiadł mężczyzna, którego Reacher natychmiast rozpoznał. Jego twarz ukazywała się w gazetach

co najmniej raz w tygodniu, dużo częściej w telewizji, gdzie – ze względu na zajmowane stanowisko – królował nie tylko w głównym materiale filmowym, ale i w licznych przebitkach z obrad gabinetowych oraz gorących narad roboczych w Gabinetcie Ovalnym. Był to Alfred Ratcliffe, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. Specjalista od rzeczy, które mogą się źle skończyć. Prawa ręka prezydenta. Jego zausznik. Krążyły plotki, że zbliża się do siedemdziesiątki, ale wyglądał dużo młodziej. Jako niedobitek ze starego Departamentu Stanu, ocalał mimo zmieniających się wiatrów, to wpadając w łaski nowych szefów, to z nich wypadając, ale ponieważ miał twardy kręgosłup, wytrwał w walce na tyle długo, by załatwić sobie najlepszą pracę ze wszystkich możliwych.

Kobieta dołączyła do niego i otoczeni przez czterech agentów w garniturach ruszyli do wejścia. Reacher słyszał, jak otwierają się drzwi, potem dobiegły kroki z korytarza, w końcu cała czwórka weszła do klasy, przodem dwóch agentów, którzy od razu stanęli pod tablicą, a za nimi Ratcliffe i kobieta w sukience. Ci dotarli do tablicy i nie mając już dokąd iść, zatrzymali się i odwrócili przodem do klasy, dokładnie jak nauczyciel przed rozpoczęciem lekcji.

Ratcliffe spojrział na White'a, potem na Watermana, jeszcze potem na siedzącego na końcu Reachera. W końcu powiedział:
– Panowie, to nie jest szkoła.

2

Kobieta z godnością przykucnęła i położyła na podłodze dyplomatkę i plik papierów. Ratcliffe zrobił krok do przodu.

– Ściągnięto was tu pod fałszywym pretekstem. Nie chcieliśmy rozgłosu. Celowo wprowadziliśmy was w błąd, bo uznaliśmy, że lepsza będzie mała zmyłka. Dyskrecja przede wszystkim, przynajmniej na początku.

Zrobił dramatyczną pauzę, jakby czekał na pytania, ale żadne nie padło. Nikt nie spytał nawet: na początku czego? Lepiej wysłuchać wszystkiego do końca. Tak zawsze bezpieczniej, zwłaszcza jeśli rozkazy przychodzą z samej góry.

– Czy któryś z panów – ciągnął Ratcliffe – może opisać prostą angielszczyzną politykę bezpieczeństwa narodowego obecnej administracji?

Nikt nie odpowiedział.

– Dlaczego panowie milczą?

Waterman ukrył się za długim na sto kilometrów spojrzeniem, a White wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że ogrom i złożoność problemu wyklucza użycie zwyczajnego języka, zresztą czy pojęcia prostoty i zwyczajności nie są przypadkiem subiektywne i jako takie

nie wymagają wstępnej dyskusji celem ustalenia właściwej definicji wyjściowej?

– Podstępne pytanie – rzucił Reacher.

– Twierdzi pan, że naszej polityki nie da się opisać prostymi słowami?

– Twierdzą, że ta polityka w ogóle nie istnieje.

– Uważa pan, że jesteśmy niekompetentni?

– Nie, ale uważam, że świat się zmienia. Lepiej zachować elastyczność.

– To pan jest z żandarmerii?

– Tak jest.

Ratcliffe zrobił kolejną pauzę i powiedział.

– Niewiele ponad trzy lata temu w garażu nowojorskiego drapacza chmur wybuchła bomba. Wielka tragedia osobista rannych i rodzin zabitych, to oczywiście, ale z globalnego punktu widzenia sprawa stosunkowo małej wagi. Tylko że zaraz po wybuchu świat oszalał. Im uważniej się temu przyglądaliśmy, tym mniej z tego rozumieliśmy. Najwyraźniej wszędzie mieliśmy wrogów, ale nie byliśmy pewni, kim ci ludzie są, gdzie są, dlaczego w ogóle są, co ich łączy, czego chcą, no i oczywiście, co jeszcze szykują. Byliśmy w szczerym polu. Ale przynajmniej otwarcie to sobie powiedzieliśmy. Dlatego nie traciliśmy czasu na opracowywanie strategii działania wymierzonej w coś, o czym nawet nie słyszeliśmy. Uznaliśmy, że stworzyłyby to fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Tak więc w chwili obecnej naszą standardową procedurą jest bieganie w kółko, jakby się paliło i waliło, i załatwianie dziesięciu problemów naraz, w miarę jak powstają. Uganiamy się za wszystkim, ponieważ musimy. Za trzy lata z małym kawałkiem rozpocznie się nowe milenium. Stolice wszystkich krajów świata będą świętowały dwadzieścia cztery godziny na dobę, co znaczy, że dzień ten będzie największym propagandowym celem w

historii naszej planety. Musimy wiedzieć, co ci ludzie knują, żeby ich wyprzedzić. Ich wszystkich. Dlatego niczego nie lekceważymy.

Nikt się nie odezwał.

– Nie chodzi o to, że chcę się przed wami usprawiedliwiać – kontynuował Ratcliffe. – Musicie jednak zrozumieć teorię. Niczego nie zakładamy, ale poruszymy niebo i ziemię, zajrzemy pod każdy kamień.

Nikt o nic nie spytał. Nawet o to, czy każą im zajrzeć pod jakiś konkretny głaz. Lepiej jest nie odzywać się niepytanym. I po prostu zaczekać.

Ratcliffe spojrzął na towarzyszącą mu kobietę.

– To jest doktor Marian Sinclair, moja zastępczyni. Dokończy odprawę. Popieram każde jej słowo, a tym samym popiera je prezydent. Powtarzam: każde słowo. Może to kompletna strata czasu i do niczego nie dojdziemy, ale dopóki nie wyłowimy czegoś konkretnego, każdy pomysł ma jednakowy priorytet. Nie będziemy szczeni sił ani środków. Dostaniecie wszystko, czego zażądacie.

Odwrócił się i między dwoma ochroniarzami ruszył do drzwi. Słuchać było, jak idą korytarzem, potem zawarczał silnik vana i odjechali. Doktor Sinclair – silne ręce, ciemne nylony i eleganckie szpilki – obróciła pierwszą ławkę przodem do nich, usiadła, założyła nogę na nogę i rzuciła:

– Proszę bliżej.

Reacher przesiadł się do trzeciego rzędu i wcisnął do ławki. Siedzieli we trzech, patrząc wyczekująco na Sinclair. Miała szczerą, otwartą twarz ściągniętą przez stres i niepokój. Działo się coś poważnego. To było jasne. Może Garber coś mu jednak podpowiedział? *Widzę, że nie jest pan zadowolony. A powinien pan się cieszyć.* Może nie wszystko stracone. White doszedł chyba do tego samego wniosku, bo pochylił się do przodu i przestał strzelać oczami. Waterman zastygł